



Ludzie zamiast budynków

ZBIGNIEW BŁOCKI

Narodowe Centrum Nauki (NCN) dokonało w krótkim czasie małej rewolucji w polskiej nauce. Jest pierwszym urzędem centralnym zlokalizowanym w Krakowie, przede wszystkim jednak wprowadziło zupełnie nowe standardy w systemie publicznego finansowania badań w Polsce. Jest właściwie jedynym elementem tego systemu opartym na prawdziwej konkurencji. Wzorowaliśmy się na sprawdzonych rozwiązaniach funkcjonujących za granicą, szczególnie na organizacji konkursów European Research Council. Stale staramy się wprowadzać do polskiej nauki nową jakość; wspomnę tylko o takich sprawach, jak recenzowanie wniosków przez zagranicznych ekspertów, rozwiązania wymuszające mobilność naukowców, czy praktycznie wprowadzenie do naszego systemu instytucji *postdoka*. Oczywiście, nie wszystko działa idealnie. Ostateczne rankingi wniosków dokonywane są na podstawie decyzji paneli, składających się z kilkunastu ekspertów, i choć te decyzje poparte są kilkoma pisemnymi recenzjami, to nieunikniony jest w nich element subiektywnej oceny, czasami być może dyskusyjny. Zdarza się również, że nasi wnioskodawcy stykają się z nadmierną biurokracją. Ale najgorsze jest to, że musimy odrzucać wnioski, które zasługują na finansowanie.

Bo zdecydowanie najważniejszym problemem Centrum są dziś niewystarczające środki. Trzeba podkreślić, że przy powstawaniu NCN w 2011 roku nastąpił równoczesny, jednorazowy, bardzo wyraźny wzrost nakładów budżetowych na projekty badawcze; praktycznie w jednym roku powiększyły się one o prawie 300 mln zł. Niestety od kilku lat ten wzrost jest już czysto symboliczny, stale natomiast w tym czasie rosło zainteresowanie aplikowaniem o projekty badawcze NCN, wyrażane zarówno w liczbie wniosków, jak i planowanych kwotach. Oczywiście spowodowało to dramatyczny spadek współczynnika sukcesu, z ok. 25 procent, początkowo, do 16 procent w 2014 roku. Ten poziom jest już – moim zdaniem – nie do zaakceptowania. Powoduje, że niektóre rozstrzygnięcia nabierają charakteru loteryjnego, rośnie, całkowicie zrozumiała, frustracja środowiska.

Wydaje się, że współczynnik sukcesu na poziomie 25–30 procent byłby optymalny. Wyższy byłby – moim zdaniem – niepożądany, gdyż chcemy finansować tylko badania na wysokim poziomie. Zdarza się zresztą, że nasze zespoły ekspertów nie decydują się na wykorzystanie całej kwoty przeznaczonej na dany konkurs właśnie z powodu niewystarczającej liczby dobrych wniosków. Absolutnie nie będziemy wydawać pieniędzy za wszelką cenę! Trzeba jednak podkreślić, że pomimo tego nastawienia, co roku udaje nam się wykorzystać naszą dotację celową praktycznie w 100 procent, dzięki czemu żadne środki przeznaczone na projekty badawcze NCN nie są pod koniec roku zwracane do budżetu państwa.

Z naszych symulacji wynika, że aby wrócić do wskaźnika sukcesu na poziomie 25 procent, nasz całkowity budżet, obecnie wynoszący 915 mln zł, powinien wzrosnąć o ok. 200 mln zł. Choćby w świetle wspomnianego wzrostu finansowania w 2011 roku, te oczekiwania absolutnie nie powinny być traktowane jako nierealistyczne. Tym bardziej że budżet nauki wzrósł w tym roku o 10 procent, a jak zapewnia Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, NCN ma być traktowany priorytetowo. Ten wzrost w naszym przypadku wyniósł jednak tylko 3 procent – czas więc chyba wreszcie na odrobienie pewnych zaległości. Bardzo liczę tu na wsparcie całego środowiska naukowego. Gdybyśmy mieli osiągnąć w przyszłym roku współczynnik sukcesu na poziomie 20 procent, to potrzebujemy 120 mln zł więcej niż obecnie, i ta kwota wydaje się w tej chwili minimum przyzwoitości.

Z powodu ograniczeń budżetowych zmuszeni jesteśmy wprowadzać różne ograniczenia. Desperackim krokiem, na który ostatnio zdecydowała się Rada NCN, było obniżenie górnego limitu kosztów pośrednich z 30 procent na 20 procent. Spotkało się to ze zrozumieniem ze strony wnioskodawców i gwałtownym protestem ze strony rektorów. Tych ostatnich bardzo dobrze rozumiem, osobiście zresztą uważam, że koszty pośrednie powinny być możliwie jak najwyższe, by uczelniom i jednostkom badawczym opłacało się zatrudniać naukowców zdo- ▶

► bywających granty. Niestety – muszę dodać – takiego mechanizmu ciągle w Polsce nie widzę. Mam jednak zapewnienie Rady NCN, że jeżeli rzeczywiście nastąpi wyraźny wzrost finansowania Centrum, to w przyszłym [2016] roku wrócimy do poziomu 30 procent kosztów pośrednich.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że cały czas nauka, a przede wszystkim badania podstawowe, są traktowane w Polsce po macoszemu. Nieporównanie wyższe środki niż do NCN idą do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR), które finansuje badania stosowane. Ta dysproporcja jest szczególnie widoczna przy rozdzielanych właśnie funduszach europejskich: w ciągu najbliższych kilku lat NCBiR dostanie ich grubo ponad 4 miliardy euro, podczas gdy NCN, mimo wcześniejszych obietnic, nie otrzyma nic! NCBiR będzie decydował nawet o takich sprawach, jak rozdział funduszy na szkoły doktoranckie. Wydaje się, że – jak to ktoś niedawno powiedział – rzeczywiście doszliśmy do sytuacji, gdzie zamiast biznes finansować naukę jest, dokładnie odwrotnie: to nauka dotuje biznes. Strumień finansowania został odwrócony. I to

będzie – moim zdaniem – miało fatalne skutki w przyszłości.

Oczywiście środków budżetowych przeznaczanych na naukę musi być znacznie więcej niż do tej pory, ale przede wszystkim muszą być lepiej wydawane. Za-inwestowaliśmy np. dziesiątki miliardów złotych w infrastrukturę naukową, często bez żadnego planu i pomysłu na jej późniejsze wykorzystanie. W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się zresztą, że kolejny prawie miliard złotych zostanie rozdzielony przez instytucję, która nie ma w kwestiach ściśle naukowych żadnego doświadczenia. Jak doskonale wiemy, te już wybudowane laboratoria czy parki technologiczne często stoją puste; nie ma środków ani wykwalifikowanej kadry, by z nich korzystać. NCN jest zaś właściwie jedyną publiczną instytucją, której zadaniem jest bezpośrednie finansowanie naukowców, a nie infrastruktury.

A jak wiemy z przykładów innych krajów, to ludzie, a nie budynki czy laboratoria, są decydującym czynnikiem w rozwoju nauki. To oni muszą się wreszcie stać priorytetem.

ZBIGNIEW BŁOCKI

Narodowe Centrum Nauki

Z metra i na wagę

MARCIN KULA

Pewnemu studentowi zasugerowałem, że powinien przeprowadzić wywiad z p. X jako świadkiem epoki. Potem się zawahałem: „Tylko on jest już wiekowy, czy da Pan radę?”. Student odpowiedział: „ma 72 lata”. W tym momencie ja roześmiałem się głośno, a studenci niepewnie – bowiem sam mam 73 lata. O nauce i jej uprawianiu w Polsce wypowiadałem się wielokrotnie. Ostatnio nieraz przychodziło mi do głowy, że może już powinienem przestać i pozostawić to młodszemu. Aktor winien umieć zejść ze sceny, nim go zniosą. Może mam już niewłaściwy punkt odniesienia do nowych rozwiązań – choć naprawdę nie podzielam konserwatywnej reakcji obronnej części środowiska, która w gruncie rzeczy zakłada, że „przed minister Kudrycką” wszystko było najlepiej na tym najlepszym ze światów. Spróbuję jednak jeszcze trochę pokrzytykować – z przyzwyczajenia. W jakimś filmie (no właśnie, już nie w pamiętam jakim!) reżyser pomieścił znakomitą scenę, w której w uroczystym momencie całkiem łysy bohater robi gest przygładzania włosów – bo przez większość życia zakodował sobie taki odruch. Ja też zinternalizowałem odruch krytyczny.

*

Słyszę o wprowadzaniu punktów za dorobek i urobek już nie tylko na szczeblu ministerialnym, ale każdemu pracownikowi na szczeblu instytutów. Nie, nie chcę tego. Nie będę akceptował nauki z metra i na wagę. Mogę tysiąc razy usłyszeć, że to jest przyszłość, że placówki muszą się dostosować, że jakiś klucz określania zasług

trzeba znaleźć, podobnie jak metodę dzielenia pieniędzy. Należę jednak do pokolenia, które wielokrotnie słyszało, że przyjmowane rozwiązania są nieuchronną przyszłością (to ze strony jednych) lub że trzeba „chronić substancję” (to ze strony drugich). Okazało się, że przyszłość w proponowanej wersji nie była jednak nieuchronna, zaś „substancję” można było przy okazji chronienia niezłe sprostytuować. Na wszelki wypadek więc informuję, że nie czytam nadchodzących ofert przemysłu konferencyjnego – nawet jeśli wynika z nich korzyść w postaci punktów, czy wręcz pieniędzy, zarówno dla uczestników, jak dla organizatorów. Nie czytam ofert nieznanymi mi czasopism, które od nagłówka zapewniają, że wchodzi do wielu indeksów, a za pewną opłatą opublikują cenny tekst wybitnego naukowca. W ogóle nie będę pracował dla punktów (prawda, że mnie już łatwo tak powiedzieć!).

*

Naprawdę zawsze byłem za interdyscyplinarnością. Usiłowałem ją propagować. Sam usiłowałem ją też uprawiać – co nie jest łatwe w naszym środowisku. Powinienem więc być zadowolony, że Centralna Komisja obecnie wyznacza jednego z recenzentów z dyscypliny innej niż podstawowa dla danego przewodu. Nie ma jednak słusznego działania, które nie mogłoby się zamienić w swoje zaprzeczenie, czy nawet w absurd. Jeszcze nie widziałem specjalisty z innej dyscypliny, który by nie przyszedł z głęboko w jego umyśle tkwiącą misją udowodnienia osobie ocenianej, że idzie złą drogą. Tacy ludzie

►

► przychodzą przekonani o słuszności swoich i tylko swoich metod... no i się zaczyna. Jeszcze gorzej jest, gdy oceniana praca, czy osoba z innej dziedziny, wchodzi na teren łowiecki przybysza. Nigdy nie okazuje się dostatecznie doskonała. W fatalnej sytuacji są instytuty interdyscyplinarne. Akurat widzę bliżej jeden z nich. Nie ma on praw przeprowadzania przewodów z historii, ale ma cały pion badań historycznych. No i potem recenzent urzędnika podczas kolokwium regularny egzamin kandydata na poziomie, z grubsza biorąc, studenckim ze swojej dziedziny. W innym wypadku pada pytanie w odniesieniu do kandydata: „Czy to jest politolog, czy nie? Czy to jest historyk, czy to jest erudyta, czy to jest dziennikarz?”. Jeżeli tak, to może ta placówka jest źle skonstruowana – choć wydaje mi się, że jest ciekawa, a na mariażu dyscyplin tylko korzysta. Zastanawiam się, jak w ogóle może funkcjonować, skoro – jeśli dobrze pamiętam – z osób, które były jej dyrektorami bądź wicedyrektorami, większość była historykami. Historia jest zresztą obecnie w wyjątkowo paskudnym położeniu wśród nauk społecznych – bo w historiografii nie ma tradycji odwoływania się do teorii. No więc nasze wysiłki są kwalifikowane przez eminentnych kolegów jako „zbiór ciekawostek.” Takie określenie usłyszałem w odniesieniu do własnego artykułu, podczas gdy – o zgrozo! – sam uważałem go za osiągnięcie. Doświadczenie innego, bliskiego mi historyka było nie mniej bolesne. Jego wystąpienie zakwalifikowano jako nadające się do „osiedlowego klubu kultury”.

Może to źle, że jako historycy nie lubimy przywoływania teorii. Może nawet powinniśmy tworzyć nasze własne (a nie tylko odwoływać się do cudzych, jak czyni większość naukowców społecznych!). Takich rzeczy nie zmienia się wszakże przez ustawienie szlabanów. Do tego trzeba zmienić kanon studiów. Zawsze za tym byłem, ale jeszcze trochę opisywanej postawy kolegów i stanę się obrońcą dotychczasowego kanonu. W końcu nauka rozwija się nie tylko przez teorie, ale też przez obserwacje faktów. Sensowne teorie są budowane w oparciu o empiryczne podstawy.

No cóż, nikt nie jest sędzią we własnej sprawie. Może ja sam czy kolega, czy jeszcze ktoś inny z historyków, nie zasługujemy na więcej niż na wspomniane określenia. Nie mogę się jednak powstrzymać przed przywołaniem dziś już niemodnego klasyka – że potrzebujemy takiej krytyki, która pomaga, a nie takiej, która przeszkadza (gdyby ktoś spoza historyków, z grona naukowców społecznych nie wiedział, oczywiście wyłącznie przez przypadek, o kogo chodzi, to informuję, że o Stalina). Powiedźcie więc Koledzy: „Pomożemy!” – nawet jeżeli może akurat nie pamiętacie, kiedy to słowo stało się symboliczne i jak się zbilansowało po 10 latach. Bądźcie świadomi, że jako historyk często bez wielkiego trudu mógłbym przedstawić zastrzeżenia do uogólniających myśli formułowanych przez Was jako naukowców społecznych – ale chyba Was nie niszczyć, nieprawdaż?

Rozumiem dążenie do utrzymania i podnoszenia poziomu. Nieraz jestem jednak przerażony kolokwiami habilitacyjnymi lub naradami komisji w nowej formie. Każdy pyta o to, o czym sam akurat wie, co akurat czytał itd. Każdy ma pretensje. Nawet dobrze wykształcony człowiek nieraz nie powinien tego kolokwium przejść lub zaspokoić postulatów – jeśli je traktować na serio. Nie każdy kandydat potrafi być prof. Jerzym Szackim, który przed laty, na swoim kolokwium habilitacyjnym, na pytanie o teorię x długo pomyślał, a potem spokojnie odpowiedział: „Na temat teorii x nie wiem nic, ponieważ jej nie znam”.

Zbyt mało widzę w tym wszystkim popierania młodych ludzi, inicjatywnych i nade wszystko oryginalnych. Przypuszczam, że środowisko broni się w ten sposób przed negatywami reformy, ale walczy złą drogą. Obrona jakoby mądrej nauki może okazać się równie mało produktywna jak robienie z uczelni szkół gotowania na gazie.

*

Rola Centralnej Komisji wzrosła po ostatnich reformach. Nigdy za tym nie byłem. Zawsze wydawało mi się, że to każda placówka naukowa jako taka powinna odpowiadać za poziom nadawanych tytułów – a jeśli chce się ośmieszać marnymi, to jej sprawa. Kwestia stopnia naukowego powinna rozgrywać się bezpośrednio w placówce badawczej. Z wnioskiem o awans naukowy kandydat powinien zwracać się do swojego środowiska. Do niego powinien się ewentualnie odwoływać, a nie – nawet przy pomocy kancelarii prawnej! – do ciała, które, choć wybrane w głosowaniu naukowców, w praktyce jest traktowane jako urząd (nie ludźmy się co do tego!). Prawda, trudno negocjować, że wykrycie przez prawników ewentualnego uchybienia formalnościom i potwierdzenie ich zajęcia przez CK są zasadne. Niemniej jednak uprawianie nauki to prerogatywa i zarazem powinność środowiska.

Oczywiście na takie *dictum* pada odpowiedź, że jeśli wszyscy zaczną nadawać tytuły bez kontroli, to Polska zostanie szybko wybrukowana dyplomami doktorów habilitowanych i profesorów. Nie sądzę, by tak się jednak stało bez CK. Za PRL-u zniesienie w jakimś momencie kontroli nad przyznawaniem doktoratów przez uczelnie oraz instytuty nie przyniosło nic złego. Z CK lub bez niej, i tak wiadomo, że dyplomy niektórych placówek są lepsze, a innych gorsze. Jeśli jednak rola Centralnej Komisji rośnie, to niechby to ciało działało sprawnie. Tymczasem w wypadku, który z bliska uważnie obserwuję, kolega nie może doczekać się na rozpatrzenie odwołania od ponad roku. Często słychać o mniej lub bardziej ciągnących się podobnych sprawach. Chyba istnieją jakieś ustawowe terminy załatwiania wniosków i odwołań przez urzędy w Polsce, nieprawdaż?

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (*emeritus*)
Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza
w Warszawie

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.